

Sen Brylla i jawa Skuszaneki

W krakowskich teatrach nowy sezon zaczął się ambitnie. I w Starym i w Teatrze im. Słowackiego pokazano polskie sztuki współczesne, o pouczającej rozpiętości problemowej i stylistycznej. Jakby na lekcji anatomii (literackiej) możemy obserwować strukturę fenomenu, zwanego tymczasem niezmiennie dramaturgią. Możemy obserwować także wyrazistość, a nawet jakby odrodzenie się funkcjonalności scen Krakowa. Teatr Stary przedstawia kameralny dramat psychologiczny; na scenie im. Słowackiego idzie rzecz z dziedziny poetyckiej fantastyki czy poetyckiego realizmu, jak tam kto zechce nazwać, lub czym zechce się osłonić. Jest więc nareszcie znów sytuacja taka, jak u schyłku lat czterdziestych, kiedy dyrekcję teatrów krakowskich objął po raz pierwszy Bronisław Dąbrowski. Publiczność wiedziała wówczas, gdzie powinna szukać doskonałych artystycznie widowisk teatru akademickiego, a gdzie zostanie potraktowana jako medium współczesnych niepokojów estetycznych i moralnych; który teatr zechce ją oślnić, a z którym wspólnie będzie musiała przedzierać się ku satysfakcji nieprzewidzianym. Nie znaczy to, oczywiście, by którykolwiek z tych teatrów był wówczas trudniejszy. Przygotowanie każdego z przedstawień wymagało odpowiedniego trudu, tyle że działały one na inne zwoje nerwowe odbiorcy. Zawsze wywołuje we mnie zażenowanie pewna apodyktyczność przejawiająca się w środowisku teatralnym, na temat tzw. dobrego teatru: ten, taki, a nie inny. A przecież wszystko zależy od wrażliwości nerwów nawet tego samego odbiorcy, w rozmaitych sytuacjach, zupełnie niezależnych od teatru. Raz zechce się poddać bezwolnie muzyce, plastyce, dynamice ruchu, urodzie słowa — i z nich będzie czerpał satysfakcję; kiedy indziej zagłębi się z radością w meandry myśli, zasadzki psychologii, we wrażenia nieoczekiwane, wytrącające z powszedniej równowagi, albo chociaż naruszające te pojęcia, jakie człowiek hoduje w sobie, o powszedniej i powszechnej równowadze. Piszę to, aby wyrazić zadowolenie, że ów wymaglinowany a wszechstronny widz ma wreszcie w Krakowie możliwość wyboru i dogodzenia swoim nastrojom; przynajmniej w teatrze.

Oto bowiem Krystyna Skuszaneka na otwarcie sezonu, a zarazem swojej dyrekcji w Teatrze im. Słowackiego, wystawiła moralitet Brylla



„Co się komu śni”, Brylla w Teatrze im. Słowackiego.

„Co się komu śni” w proporcjach tak doskonale odmierzonych i uszanowanych, jak to się mogło zdarzyć tylko w teatrze akademickim, a więc w najlepszych latach tej sceny. Działa tu zapewne magia, powiedzmy skrótowno, kurtyny Siemiradzkiego; ale nie tylko, bo już we wrocławskich swoich przedstawieniach reżyserka dochodziła do pewnych trwałych konwencji estetycznych. Niepokoje? Owszem, ale tylko poskromione wyśmakowaniem estetycznym, precyzją formalną: żadnych nieoczekiwanych napięć, natomiast celnie obliczone i sprawnie podane ze sceny efekty.

Zapewne, jest to także znamię dojrzałości artystycznej, otwarcie jak gdyby nowej talii kart, które nie są jeszcze znaczone. Ale jakże miło jest stwierdzać właśnie dziś, gdy Skuszaneka zostaje dyrektorem Teatru im. Słowackiego, że obydwoje się bez gwałtów wzajemnych, że następuje nie tyle kompromis, co pogodzenie, zgoda na to, by wspólnie szukać drogi ku teatrowi, który wszelkie koncepcje, pomysły, odkrycia czy po prostu stwierdzenia artystyczne potrafiłby przekazywać barwnie lecz precyzyjnie. W którym aktor z reżyserem, scenografem i kompozytorem stanowiliby jedno wspólnego mechanizmu. Oczywiście, przynajmniej na scenie. Od takiej sprawności niektóre zespoły skutecznie nas odzwyczajają, szczególnie w ostatnich latach.

Bryllowi krytyka podsuwa od dawna konsekwentnie zaszczepione ale odległe; a to wielkich poetów romantycznych, a to teatru staropolskiego, jak obecnie. z okazji „Co się komu śni” (druk.

w „Dialogu” pt. „Życie jawą”: nie tyle aluzja do Calderona, co po prostu tautologia). Wydaje się, że można znaleźć związki i wątki bliższe, a bardziej sugestywne i przekonujące; myślę o „Marcholcie” Kasprowicza i o dużej części poezji młodopolskiej, chorej na swoistą ludowość. Związków tych, gdy się utwór czyta, wcale wskazywać nie potrzeba, ma on własne życie popularnej, aktualnej anegdoty, zrecznie przybranej przez autora w poetyckie czy tylko wierszowane szaty. Ze wszystkich dramatów Brylla ten jest zresztą najprecyzyjniejszy, tak jak celna bywa właśnie dobra anegdota czy złośliwy aforyzm. Nie myślę bowiem, żeby Bryll pisał swą sztukę po to, aby raz jeszcze przedstawiać chłopca jako króla, choćby tylko „niedzielnego”, choćby z majaku sennego. Wnoszę z tonu i temperamentu, że interesowała go raczej kamaryla dworska, owi „Gbury” i „Delikatni”, na które to stronnictwa dzielą się dworacy i służący; a każde z nich z własną koncepcją dworactwa i służalczości. Którzy są lepsi? Ba, kto potrafi odpowiedzieć. Ale z chłopca król, nie wiedząc również, po prostu cynicznie przymerza: jedni na lewo, drudzy na prawo, i na odwrót, raz, dwa, raz, dwa. Wreszcie coś się może na tej huśtawce czy karuzeli wyklaruje... ktoś spadnie. a ten, kto się utrzyma, będzie na pewno lepszy! przynajmniej w utrzymywaniu się...

Cóż to więc za moralitet? Farsa antyszambrowa. Natomiast moralitety rymowania — takie niby bardzo gwałtowne, wołające o sprawiedliwość i moralność. iak każe tra-

ścąca gatunku — są tylko grubą warstwą lukru, mającą pokryć farsowe zjadliwości. Dla reżysera nie mały problem. Zdzierać te lukry, szminki, aż do żywego mięsa, aż kość zazgrzyta, czy też przygotować z nich kompozycję, jak to i o tortach cukiernicy powiadają, artystyczną?

Skuszaneka pojęła swoje zadanie poważnie i przygotowała kompozycję, przystrojoną przez Kazimierza Wiśniaka w — piękne zresztą — hiszpańskie kostiumy i w moralitety wystrój sceny jak gdyby średniowiecznej. Aktorzy weszli od razu w swoje role, nie przeberali się, nie wybierali na oczach widzów, jak chciał autor, sobie kostiumów: to ten, to ów, każdy właściwie na każdego pasuje, taki jest człowiek, jak miejsce, w którym się znalazł... Pokazała więc reżyserka sztukę Brylla jakby jakiegoś „Don Carlosa”, choć nie bardzo się ona nadawała do tego, by w o tyle cięższa przyodziewać ją zbroje. Czy nie dlatego bowiem teksty Brylla drażniły czasem tym bezwstydniej? Jego złośliwości w sposób niezamierzony stawały się ostentacyjne. Patrzenie, otom ja, i mnie wolno — może dlatego, że umiem zgrabniej — mówić rzeczy, nad którymi inny musiałby się grubo zastanowić. Otom ja, uznany piewca brudów i świnstw ludzkich, za które to pienia innego skarcono by na pewno surowo jako pesymistę i — chyba to słowo-obelga wróci niebawem, jak wróciła już moda na secesję i modernizm? — dekadenta. Inaczej mówiąc, Bryll w teatrze piwnicznym albo na strychu, ostatecznie w teatrze ubogim brzmiałby bardziej autentycznie, może nawet przejmująco; natomiast na jednej z pierwszych scen Rzeczypospolitej i w znakomitym — powtarzam, że wobec sztuki spotęgowanym jeszcze przez teatr — wystrój sceniczny wydaje się chwilami demagogiem.

Co się zdecydowanie podobało? Precyzja Skuszaneki i zespołu, scenografia Wiśniaka, muzyka Walacińskiego. No i oczywiście Chłop z chłopca (a potem król) Bolesława Smeli i Bała z baby (a potem królowa) Haliny Gryglaszewskiej. Oboje artyści z dawna na tej scenie krakowskiej nie oglądani, dawali swą żywiołowością, temperamentem i napięciem prawdziwą satysfakcję artystyczną. A że ostatecznie nie okazało się jednak wiadome, co się naprawdę komu śni? Tak bywa po przebudzeniu. Pamięta się luźne i bez związku fragmenty. Jak z tego przedstawienia udane dowcipy, które zdołały się jednak przemknąć pomiędzy kostiumową układnością sceniczną jawy.

ZYGMUNT GRĘŃ